



RADOSŁAW BUDKIEWICZ
OCEAN KRWI

e-bookowo.pl
wydawnictwo internetowe

Radosław Budkiewicz

Ocean krwi

© Copyright by Radosław Budkiewicz & e-bookowo

Redakcja i korekta: e-bookowo, Wioletta Krzyżańska
Skład i łamanie: Ilona Dobijańska, Wioletta Krzyżańska
Zdjęcia na okładce: unsplash.com/@giancarlor_photo,
unsplash.com/@mougrapher

ISBN: 978-83-8166-245-1

Wydawca: Wydawnictwo Internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody
wydawcy zabronione.

Wydanie I 2021

Jak zawsze, dla mojego taty

Rozdział 1

Dwadzieścia jeden lat po zakończeniu Wielkiej Wojny, która położyła kres wszelkim konfrontacjom zbrojnym, na nowo rozpętał się krwiożerczy konflikt. Świat znów stanął w płomieniach, tym razem jednak to nowe pokolenie musiało stanąć do walki.

Ocean Spokojny spływał krwią.

Siedem osób pod dowództwem członka „elity pośród elit”, podporucznika Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych Zachary’ego Warda, miało w teorii proste zadanie: znaleźć i zniszczyć stację radiową oraz lotnisko. Byli częścią jednego z dwóch zespołów uderzeniowych, zmierzających w kierunku atolu Midway. Pośród załogi krążyły plotki, że Midway to fundament pod walkę o Guadalcanal, ale kto by im wierzył...

Plotki. Pogłoski. Tylko tyle i aż tyle, co, biorąc pod uwagę atak na Pearl pół roku temu i niedawną klęskę na Filipinach, wydawało się być akcją przygotowaną szybko, bez dokładnego zastanowienia się, byle tylko uderzyć i zadać straty. Albo – jak niektórzy podejrzewali – było w tej dywersji drugie, czyste moralne dno.

Wszyscy bowiem potrzebowali jakiegoś moralnego kopniaka. Czegoś, co zachęci żołnierzy do dalszej walki. Prawdziwe rozkazy brzmiały aż nazbyt prosto. Zniszczyć radio? Lotnisko? I już? To... mało. Chyba.

Żołnierze, marines i załoga niszczyciela klasy *Clemson*, USS Sandersona, zwanego pieszczotliwie „Sandie”, płynęli z Australii kolejny już dzień. Wszyscy, oprócz najwyższych rangą oficerów i kapitana okrętu, komandora Nite’a, tracili poczucie czasu.

Nikt ze wspomnianej drużyny nie miał pojęcia, gdzie dokładnie się znajduje ani dokąd tak naprawdę zmierza. Dla nich Pacyfik był jedną, wielką pustynią, gdzie na jednym krańcu była Japonia, a na drugim Stany Zjednoczone. Widok z pokładu to potwierdzał; jak okiem sięgnąć nic, tylko ocean i niebo, za dnia błękitne i stalowe, nocą czarne i mroczne.

Chociaż wszyscy znali cele swojej misji, docelowe miejsce jawiło się tylko jako jedna z niezliczonych wysepek na oceanie, gdzie rządzi równie bezimienna masa Japończyków. Nikt nie miał pojęcia, co naprawdę ich czeka na tej konkretnej wyspie. Siedzieli więc na pryzkach na jednym z niższych pokładów, jeśli tak można było nazwać tę ciasną, niesamowicie klaustrofobiczną puszkę.

„Sandie” nie była młodym statkiem, to okręt pamiętający jeszcze poprzednią wojnę, tak zwany czterofajkowiec (bowiem posiadał cztery kominy) ze zdecydowanie zbyt starym uzbrojeniem. Ale był domem dla wielu, wielu ludzi. Innego nie mieli.

Marynarze w większości krzatali się po pokładach. Niektórzy z nich, podobnie jak marines, grali w karty. Jedni rozmawiali o swych byłych oddziałach, rodzinnych stronach,

planach na przyszłość, Hitlerze i coraz to wymyślniejszych sposobach uśmiercenia go. Hirohito jawił się jako tylko jeden z wielu Japończyków dla szeregowych żołnierzy.

Ktoś czytał książkę, inny Biblię, następny rozkładał i czyścił broń, po czym ją składał. Kolejni spali, korzystając z każdej wolnej chwili, jaka była dostępna. Wszyscy lub prawie wszyscy pili kawę w ilościach hurtowych i popalali papierosy. Przynajmniej kilka razy dziennie były ćwiczenia tak teoretyczne, jak i praktyczne.

Nieustanne sprawdzanie broni, powtarzanie rozkazów i omawianie planu działania każdemu dały się we znaki. Wszyscy wiedzieli, co mają robić. Kiedy. Jak. A mimo to, dopóki znajdowali się z dala od Stanów i Australii, powtarzali te czynności, powtarzali rozmowy, powtarzali studiowanie map.

– Sierzancie! – zawołał swoim basem Zachary Ward, przeciskając się przez wąskie drzwi prowadzące z jednego przedziału do drugiego.

– Za kwadrans zbiórka. Za trzy kwadranse lądujemy – oznajmił, spoglądając na siedmiu młodych chłopaków. Nadeszła chwila, na którą wszyscy czekali.

Najmłodszy z nich miał dziewiętnaście lat, pryszcze i okulary, najstarszy dwadzieścia dziewięć i świetlaną karierę lekarza, ale wybrał służbę w wojsku, ku chwale ojczyzny. Tylko ta dwójka spojrzała – odpowiednio z przestraczem i znudzeniem – na podporucznika, sięgającego właśnie do swojej pryczy.

Pozostali nawet nie zwrócili na niego uwagi, ale dało się wyczuć ekscytację. Rosnące napięcie.

– Johnny, Sean, wstawać! – James, sierżant z rodziny z wojskowymi tradycjami i wychowanek Nowej Anglii, zeskoczył ze swojej pryczy i od razu spojrział na zegarek. – Za dziesięć minut wszyscy mają być gotowi! Eric, obudź Seana. Sam, dopilnuj, by wszystko było uprzątnięte. Johnny... hej, Johnny! Wstawajcie, kapralu! Ruchy, ogarnij dupsko! Dave, odłóż książkę, to nie biblioteka!

– To Pismo Święte – burknął urażony Dave, ale posłusznie wykonał rozkaz.

W ciągu paru minut żołnierze w białych podkoszulkach z krótkim rękawem i spodniach od munduru w kolorze khaki zaczęli się krzątać. Nie marudzili, nie kłócili się, wykonywali powierzone im czynności z wprawą maszyny. Nie rozmawiali, pomijając rzecz jasna uszczypliwe docinki podczas wybudzania śpiących kolegów.

Sprzątnięto karty do gry. Książki. Wszystko zostało schowane do plecaków i worków. Drużyna szybko założyła bluzy i kurtki od polowego munduru, pomijając tylko broń (za wyjątkiem karabinu wyborowego springfield, który Christopher O'Brien traktował jak własną rękę) oraz hełmy: te znajdowały się w innej części „Sandie”. Nie minął wspomniany kwadrans, a wszyscy byli już gotowi do działania; stali w dwuszeregu, czekając tylko na dowódcę.

Sierżant Jimbo Winston imponował marynarzom. Jako szczupły, średniego wzrostu blondyn o orlim nosie i wygolonych

bokach na modę tuż po pierwszej wojnie wydawał się być plakatowym modelem żołnierza. Stał wyprostowany i z dumą wypinał pierś. Patrzył na samobójczą drużynę ochotników, chociaż nie była to do końca prawda – powierzone im zadanie było proste, nie mogli jednak liczyć na wsparcie.

Byli zdani tylko na siebie i na swoich kolegów. Niszczyciel miał ich zostawić, odpłynąć i wrócić, jeżeli ukończą zadanie. Jeśli nie wykonają powierzonych im rozkazów lub zginą podczas walki... cóż, bywa. Byli tylko żołnierzami.

James „Jimbo” Winston zatrzymywał spojrzenie na każdym żołnierzu piechoty morskiej. Znał ich akta na pamięć. Wiedział, jakie mają słabe i mocne strony. Spośród wielu chętnych do skopania japońskich tyłków, to właśnie ta gromadka była najlepsza. Brakowało jednak prawdziwych weteranów, którzy widzieli więcej niż jedno pole bitwy.

Tylko Hudson oraz Ward byli na Bataan i cudem przetrwali. Reszta... no cóż. Nie do końca wiadomo, ilu dostało się do niewoli. Nikt też nie wiedział, gdzie ci jeńcy się teraz znajdowali.

Szeregowy Eric Pierce był najmłodszy ze wszystkich żołnierzy na pokładzie. Chudy, żylasty, z pryszczami i okularami na twarzy, pochodził z Maine, tak samo jak James. Wada wzroku była na tyle nieznaczna (miał tylko trudności z czytaniem z bliska), że został przyjęty do korpusu, a potem poszło już z górki. Głównie za sprawą jego chęci do działania i werwy.

David Thaway, również w stopniu szeregowca, był barczystym Teksaszczykiem, opalonym, umięśnionym brunetem,

a do tego fanatycznie wręcz wierzącym katolikiem. Jako jedyny nie rozstawał się z kieszonkową Biblią i różańcem oraz jako jedyny był gotów ślepo wykonywać polecenia.

Jego przeciwieństwem był Sean Leeney. Patrzył ponad ramieniem Jamesa w bulaj i widoczny za nim czarny ocean. Ten niski, pyskаты rudzielec mógłby zrzucić kilka kilogramów, ale znał się na materiałach wybuchowych jak nikt inny. Niestety miał też problemy z wykonywaniem rozkazów.

Saper był jednak niezbedny, a z racji swojej wiedzy i umiejętności trudno było go zastąpić – ileż to razy trafiał pod sąd polowy! Do karceru! Nic dziwnego, że był ciągle szeregowcem. No i jako jedyny marine ze wszystkich został tu zesłany za karę.

Szeregowiec Christopher O'Brien był w sumie podobny do Jamesa. Też blondyn, też wysoki, ale miał prosty nos, był bardzo chudy i posiadał cień zarostu na policzkach; nie chciał się golić, nie widział ku temu powodu, skoro był na misji, z której mógł nie wrócić. Ot, pragmatyczne podejście. Wychowany w Montanie. Dzieciństwo i młodziencze lata spędzał na polowaniach z ojcem, był wyśmienitym strzelcem. Stanowił połączenie zwiadowcy oraz snajpera.

Kapral Samuel Isaacs, absolwent uniwersytetu Johnsa Hopkinsa, pochodził z małej miejsciny w Pensylwanii i był drużynowym sanitariuszem, de facto najcenniejszym elementem tej sekcji. Bywał w świecie, a przed wojną – robiąc sobie przerwę przed rozpoczęciem rezydentury – pomieszkiwał we Francji. Potem dołączył do korpusu. Niski, wiecznie

zadumany mól książkowy był zgarbionym szatynem, nieco wycofanym, może flegmatycznym, ale godnym zaufania.

Potrafił zachować spokój w każdej sytuacji. Rzecz niezbędna, gdy trzeba grzebać we flakach rannego kolegi, nie więc dziwnego, że James wybrał właśnie go spośród innych. Wolne chwile spędzał czytając i pisząc listy, zwłaszcza od i do siostry, Heather. Gdyby tylko częściej mu odpisywała!

Drugi kapral, John Hudson, trwał jak posąg i tak też wyglądał. Wysoki, przystojny blondyn o zarysowanej szczęce i głęboko osadzonych, jasnych oczach. Podobnie jak James, ten jankes pochodził z rodziny z wojskowymi tradycjami.

O ile w przypadku Winstona podchodzono do tego lekko i przyjemnie, ot, na zasadzie ciekawostki, tak Nowojorczyk był dumny jak paw z faktu, że jego ojciec brał udział w Wielkiej Wojnie, że dziad walczył nomen omen na Filipinach pod koniec zeszłego wieku, a pradziad w secesji, po stronie Północy.

I to było niestety jego przekleństwem, za wszelką bowiem cenę chciał im dorównać, ba, przewyższyć ich. Zwłaszcza dziadka, filipińskiego weterana i posiadacza najwyższego odznaczenia, Medalu Honoru.

No i on.

Podporucznik Zachary Ward. Wysoki przystojniak o kruczoczarnych włosach, niebieskich oczach i masywnej szczęce, przypominającej ciosaną w kamieniu, z potężnym, basowym głosem. Charyzmatyczny, opanowany, cwany jak lis. Po wydaniu rozkazu opuścił pomieszczenie, by powrócić

kilka minut później. Teraz, z zadowoleniem lustrując swoich żołnierzy, uśmiechnął się szeroko i kiwnął głową.

– Drużyna, za mną marsz.

Wszyscy pomaszzerowali przed siebie ciasnym wnętrzem. Musieli się przeciskać między marynarzami i żołnierzami, pochylać nisko głowy, uważać, gdzie stawiają stopy, ale w końcu dotarli do celu. W mesie oficerskiej był tylko kapitan niszczyciela, Melvin Nite. Komandor.

Był on człowiekiem morza w pełnym tego słowa znaczeniu. Średniego wzrostu, dobrze zbudowany, o ogorzałej skórze i ciemnych włosach z kilkoma pasami siwizny nasuwał oczywiste skojarzenia z kapitanami jeszcze z czasów poprzedniej wojny – zresztą, brał w niej udział. A teraz miał nawet fajkę w ustach, mundur jednakże pasował tak, jak świni siodło.

Gdyby zamiast niego miał gruby sweter, byłby podręcznikowym przykładem wilka morskiego. Był jednak żołnierzem i teraz, patrząc na mapy, wyglądał na bardzo zmartwionego. Przerwał studiowanie map południowego Pacyfiku i kiwnięciem głowy powitał marines.

James i Zachary zaszalutowali pierwsi i zerknęli na obiekt zainteresowania Nite'a. Tu i tam były zaznaczone pozycje aliantów oraz Japończyków. Widać było Oceanię, Nową Gwineę, Australię, Wyspy Salomona, w tym Guadalcanal i cel drużyny Warda, średniej wielkości, oficjalnie bezimienną wyspę.

Nie była imponująca, na tle pozostałych wysp nie wyróżniała się niczym szczególnym. Wedle mapy, miała długość niecałych osiemnastu kilometrów i szerokość siedmiu i pół

kilometra, zaś patrząc z lotu ptaka, kształtem nieznacznie przypominała nieco spłaszczoną literę „V” albo wykrzywione „U”.

Jako że obecnie znajdowała się pod okupacją Japonii, to Japończycy nazwali ją Akushima, jak donosił wywiad. Wyspa Demonów lub, zależnie od kontekstu, Wyspa Zła. Wcześniej Hiszpanie nadali jej swoją nazwę, w podobnym zresztą tonie. Jeszcze wcześniej tak samo postępowali Francuzi i Holendrzy, a tubylcze ludy miały swoje własne określenia, również nawiązujące do diabłów, cierpienia i innych przesądów.

– Podporuczniku Ward – przywitał się komandor Nite, spoglądając na mapę.

– Komandorze.

– Jest gorzej, niż myślałem, rozpoznanie z siostrzanej jednostki przekazało nam złe wieści – zaczął przeproszającym tonem. – Japończycy mają w pobliżu trzy łajby, nie jedną. Pancernik klasy *Kawachi*, Kawatora, którego się spodziewaliśmy, i dwa niszczyciele klasy *Kagerō*, typu A: Itokuri oraz Koumibozu. – Wymawianie japońskich nazw przychodziło mu z trudem; jak wielu, nie miał opanowanego akcentu.

– Miał być tylko pancernik czy wywiad coś spieprzył?! – wtrącił się saper, Leeney, i od razu został zbesztany przez swych przełożonych.

– Szeregowy! Baczość, nie jesteście w mesie!

– Przepraszam, komandorze.

– Nic się nie stało, ale pan Leeney ma rację. Nie wiemy, czy to wina wywiadu, czy nie.

– Za pozwoleniem, komandorze, to nie zwiastuje dobrze.
– Zgadzam się, podporuczniku. Rozkazy się jednak nie zmieniły. Będziemy musieli po prostu zachować ostrożność. Za... – Spojrzał na zegarek na nadgarstku. – Za dwadzieścia pięć minut lądujecie. Drużyna gotowa?

– Urodzili się gotowi.

– Wybornie. Gdy tylko zwolnimy do małej naprzód i wygasimy jeden komin, zejdziecie na dwóch pontonach po cztery osoby i do widzenia, zobaczymy się, jak Bóg da, po misji. Nie popłyniemy daleko, będziemy pozorować problemy z kotłami i silnikiem, by w razie czego odwrócić uwagę Japońców.

– Tak jest. Sierzancie, rozkazy?

– Tak jest. – Stuknął obcasami Winston. – Naszym celem jest zlokalizowanie i zniszczenie stacji nadawczo-odbiorczej żółtków za wioską w północnej części wyspy oraz uniemożliwienie budowy lotniska w południowej, następnie odwrót do zatoki w północno-wschodniej części, gdzie po dwudziestu czterech godzinach od lądowania przyplynie niszczyciel klasy *Clemson*, USS Sanderson, pod dowództwem obecnego tu komandora Melvina Nite'a. Jeżeli nie wyrobimy się we wspomnianym wymiarze godzinowym, pozostaniemy na wyspie.

– Musicie zdążyć – odparł komandor. – Okręt podwodny byłby lepszym wyjściem niż taka stara łajba, ale cóż, z górą się nie dyskutuje. Wy macie swoje rozkazy, ja swoje. Niech pan kontynuuje, panie Winston – uciał w nieco żartobliwy sposób Nite. Marines życzliwie się uśmiechnęli, chociaż nie było im do śmiechu.

– Tak jest. – Skinął głową James. – Jako że będziemy dysponować tylko jednostką ognia, musimy zachować szczególną ostrożność. Wylądujemy na północno-wschodnim krańcu wyspy, po założeniu przyczółka zaczniemy się przesuwac wzdłuż rzeki na zachód, północny zachód do celu, następnie ruszymy na południe, na teoretyczne miejsce istnienia przyszłego lotniska, skąd ruszymy do zatoki na północnym wschodzie wyspy. Opór ze strony wroga mamy za zadanie zdusić, o ile to będzie możliwe. Cel mamy osiągnąć japońską taktyką żabich skoków w skali mikro.

– MacArthur popiera tę taktykę – dodał cicho komandor.

– Pytania? Spocznij, można odzywać się nieoficjalnie – uściślił Ward. Drużyna od razu rozsunała nogi i złączyła dłonie za plecami, na wysokości krzyża. Nie była to idealna pozycja, bo niszczycielem targaly fale. Marines kołysali się lekko na boki.

– Tak jest! – Stuknął obcasami Pierce. – To prawda, że z tej wyspy nadaje jedna z różyczek? – zapytał, nieznacznie się czerwieniac. Był najmłodszy ze wszystkich i stacjonując w Pearl Harbor czy innej bazie albo i nawet będąc na jednym z okrętów, namiętnie słuchał japońskiej audycji „Godzina Zero”, doskonale zdając sobie sprawę, że to były brednie oraz czysta propaganda. Ale kobiecy głos, z miło brzmiącym dla ucha akcentem, był balsamem dla duszy młodego żołnierza.

– To tylko niepotwierdzone informacje, szeregowy. Możliwe, że trafimy na nagrania odtwarzane w pętli, ale to wszystko.

– Nie licz na spotkanie sierotki Ann – zażartował z Pierce’a Thaway, korzystając z luźniejszej już atmosfery. Reszta

zgrupowanych w mesie nie musiała nawet mówić na głos podobnych opinii. Wszyscy aż za dobrze wiedzieli, na co się piszą. Raz jeszcze powtórzyli więc plan, ku wyraźnej irytacji Seana.

Leeney przewrócił oczami, a gdy skończyli wszystko omawiać, zabrał głos:

– Tak, panie podporuczniku! – zawołał, unosząc brodę ku górze. – Po cholere po raz kolejny to omawiamy? Od wypłynięcia z Fremantle kilka razy na dobę mamy taką powtórkę. Rzygam już tymi zbiórkami, panie podporuczniku! – Stuknął obcasami, celem zaakcentowania swojego punktu widzenia. Odpowiedzi nie otrzymał, rzecz jasna.

Znali rozkazy tak dobrze, jak katolik Modlitwę Pańską, a nawet lepiej. Najpierw, tuż po zgłoszeniu się na ochotnika, przedyskutowali wszystko w australijskim porcie. Potem podczas zaokrętowania na „Sandie”. Następnie w czasie wypływania z portu, dalej gdy wypłynęli na szeroki ocean, a potem dwa razy każdego dnia, rano i wieczorem.

Wyrwani ze snu w środku nocy mogli wyrecytować każdy element planu, każdy etap misji. Wszystkie szczegóły, detale, co każdy z nich miał robić. Hasła i odzewy wywoławcze. Czas, jaki mieli przeznaczony na poszczególne czynności.

Byli profesjonalistami jedynymi swego rodzaju.

Byli marines.

– Właśnie dlatego to powtarzamy. Jeszcze jakieś pytania? – wyjaśnił ze spokojem Zachary, gdy Leeney po raz kolejny wyraził swój sprzeciw. Uśmiechnął się nawet, zadowolony z faktu, że jego żołnierze mieli już serdecznie dość

tęgo wszystkiego. Przesyt był najlepszym dowodem na to, że opanowali niezbędne podstawy.

– Panie podporuczniku! – zawołał Thaway. – Miałem zapytać wcześniej, ale jakoś nie było okazji... to prawda, że ta wyspa jest nazywana od diabła?

– Od demonów, zła – uściślił Zach. – To jakieś zabobony, by odstraszyć rybaków. Nie ma się co martwić, żaden diabeł nie wytrzyma serii z Browninga M1918. Oficjalna angielska... i francuska, i hiszpańska... nazwa nie istnieje, ewentualnie pochodzi od nazwiska jednego z odkrywców albo jakiejś wariacji na temat diabła.

– Nie brzmi to zachęcająco, panie podporuczniku.

– Zdaję sobie sprawę. Wyspa stanowi po prostu część Islas Salomón, więc póki co trzymamy się japońszczyzny. Z tego co wiem, tubylcy mówią na nią „Ocean krwi” albo „Siedliszcze zepsucia”. Potem możemy nazwać ją „Sandie”, jeśli chcecie – zakończył z uśmiechem. Komandor Nite zaśmiał się krótko.

– Jeszcze lepiej – jęknął Teksańczyk, wyraźnie żałując zadanego pytania.

– Pieprzenie! – rzucił wulgarnie Sean, w dodatku pogardliwym tonem. – Tam są zółtki i tyle, srają pewnie ze strachu w tych chatkach!

– Spokój, Leeney. Thaway, to tylko legendy, nic więcej.

– Właśnie, nie ma się o co martwić. Już o tym rozmawialiśmy, jeszcze w tym porcie w Australii, Fremantle, pamiętacie? Dżungla i parę chatek! – dodał Pierce, a korzystając

z komendy „spocznij”, poprawił okulary, które zsunęły się na czubek nosa.

– Szeregowy, macie na myśli te niewyraźne zdjęcia? Rozpoznanie lotnicze... – zaczął Hudson.

– Tak! Gówno było na nich widać! – warknął Leeney.

– Drużyna! Spokój, powiedziałem! Bacność!

– Tak jest, panie podporuczniku!

– Choćbym chciał, chłopcy, to nie mogę posłać kolejnego rozpoznania – wciął się komandor. – Japońce by się zorientowały, co planujemy; dwa przeloty, nasz i Harry’ego, to i tak dużo.

– Komandor Nite ma rację. Na stanowiska.

– Tak jest!

– No to... panie Ward, życzę powodzenia. Ni cholery nie wiem, co tam naprawdę macie robić i nieszczególnie mnie to obchodzi, ale... z Bogiem. Do zobaczenia wkrótce i dajcie im popalić. Za Pearl.

– Tak jest, panie komandorze. Za Pearl.

Dziewięciu chłopca – wraz z kapitanem „Sandie” – opuściło mesę i udało się po swój sprzęt do okrętowej zbrojowni. W ciągu kilku minut wszyscy byli gotowi do desantu. Pozostało tylko czekać na zatrzymanie się okrętu, napompowanie pontonów i dopłynięcie na wyspę.

Czas pozostały do wyłączenia silników żołnierze spędzili na sprawdzeniu swojego sprzętu. Broni osobistej, pistoletów, karabinów, strzelb, pistoletów maszynowych. Materiałów wybuchowych, żelaznych racji, przybocznych apteczek i środków

opatrunkowych, tabletek z solą oraz glukozą, dodatkowych rac i flar, zrezygnowali jednak z przenośnej stacji radiowej. Bagnety również doczekały się inspekcji, tak samo jak i – o zgrozo! – naszywki rodzimych oddziałów, batalionów i regimentów.

Stanowiły w końcu dumę żołnierzy.

Okrętem zatrzęsło, gdy gwałtownie wytracał prędkość. Marines trwali niewzruszeni, skupieni. Kilku z nich modliło się z zamkniętymi oczyma, ale reszta aż paliła się do działania. Chcieli służyć krajowi i pomścić poległych w zatoce na Oahu. Gdy zabrzmiał dzwonek – symboliczny dźwięk – Ward i jego żołnierze stanęli na baczność.

Moment później opuścili niszczyciela.

Była noc. Niebo iskrzyło się miriadami gwiazd, a księżyc w pełni wisiał nisko nad horyzontem, oświetlając swym blaskiem niepozorną wyspę. Nawet stąd, z pokładu okrętu, widać było, jak nieduża jest Akushima. Największe wzniesienie mogło mieć ze dwieście, trzysta metrów wysokości, a stromy i niedostępny szczyt znajdował się może pół kilometra nad poziomem morza.

Rozległ się gwizdek, nocą głośny jak wystrzał z armaty.